

Kiedy rok temu razem z paszportem podawałem urzędnikowi Królestwa Afganistanu pomarańczową książeczkę, której rubryka *certificat international de la vaccination contre la variole* pozwalała opuścić pokład samolotu, nie myślałem, że z tą samą książeczką będę przekraczał granicę jednego z miast polskich i że strażnik, uzbrojony w pistolet maszynowy, wykona identyczny gest przyzwolenia. Świadectwo szczepienia ospy jest wizą i paszportem. To jedyne zarządzenie, którym granice tego miasta wyłączone z obszaru Rzeczypospolitej. Ludzie, którzy je wydali i którzy na nieograniczony czas objęli rządy na tym obszarze, oznaczają swoje zarządzenia kryptonimem „VV” poprzedzającym kolejny numer i zaopatrują wojskową adnotacją: „miejsce postoju: Wrocław, Składowa 1”.

W bramie miednica z roztworem chloraminy, trzeba przemyć ręce. Klamki obcignięte paroma warstwami bandaży. Na pierwszym piętrze gabinet: drzwi obite ceratą, wymi podłuchami, biurko, dwa telefony: biały i czarny, nad fotelem napis na ścianie: „Witam się bez podawania rąk”. Pozornie — hasło kodeksu towarzyskiego. Człowiek, który mniej wita w tym gabinecie, umyka mi dłoni i wykonuje ów ukłon: nieco niższy niż normalnie. Głębsze nachylenie tułowia zastępuje gest dłoni, towarzyszy temu przepraszający porozumiewawczy uśmiech. Coś wschodniego, nowy ceremoniał powitania, *savoir-vivre* czasu zarazy. Doktor Rodziewicz opowiada:

— 15 lipca, w poniedziałek, jak zawsze zacząłem urzę-

dowanie o siódmej rano. Sekretarka przyniosła mi kawę. Rozłożyłem gazetę, interesowały mnie prognozy pogody. Wybierałem się na urlop. O siódmej pięć do gabinetu wszedł kierownik oddziału zwalczania chorób zakaźnych. „Jurek — powiada — to wydaje się nieprawdopodobne, ale skojarz następujące fakty. 10 lipca zmarła na białaczkę z objawami ospy wietrznej pielęgniarka Kowalów. Jej matka, Półubińska, u której wystąpiły podobne objawy, leczona była przez doktora Stefana Zawadę, który też zachorował. Rozpoznano ospę wietrzną o ciężkim przebiegu. Teraz już wiesz”.

Doktor Rodziewicz, dyrektor Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej rozumiał, że stoi wobec decyzji o nieograniczonych i niemożliwych do przewidzenia konsekwencjach. Lawina następstw wyniknie z faktów, jakich — wiedział to dobrze — nie umiał sobie jeszcze wyobrazić, bo jego wyobraźnia nie poddawała żadnego obrazu poza jakimś średniowiecznym opisem. Mija pięć minut. W tym czasie, jeśli przyjąć, że w mieście jest zaraza — jacyś nieznanymi, dotknięci już chorobą ludzie przeszli odcinek drogi i szerzą chorobę.

Godzina 7.15. Doktor Rodziewicz łączy się czarnym telefonem z miastem. Nakreśla pięciocyfrowy numer i wywołuje miasto Wrocławia. Na podstawie dekretu... z dnia... proszę o zamknięcie drzwi szpitala aż do odwołania. Nikt z ludzi, którzy w godzinę potem pochylają się nad chorym kolegą, nie widział na oczy ospy prawdziwej — *variola vera*. Kiedy o godzinie 13 dochodzi do pierwszego posiedzenia rozszerzonej Rady Epidemiologicznej, jeden ze specjalistów stwierdza, że alarm jest niepotrzebny, ba, byłoby rzucając nieodpowiedzialną wyolbrzymiać znaczenie trzech zachorowań na wietrzną ospę. Naukowiec, rzucający na szalę cały swój autorytet, czyni niezmiernie trudnym podjęcie decyzji. Dochodzi do scysji: „Proszę napisać i podpisać tę diagnozę”. „Nie, tego nie napiszę” — brzmi odpowiedź. „Wobec tego — nam nie wolno postąpić inaczej, jak podjętą tę decyzję bez pana”. Oznacza to: traktowanie detych-

czasowych wypadków jako wypadków *variola vera*, a co za tym idzie — podjęcie działań bez precedensu, wpłata nie się w wydarzenia, z których każde ma niemożliwe do przewidzenia konsekwencje. Brak jakichkolwiek instrukcji, schematów, wzorów.

Rozszerzona Rada Epidemiologiczna natychmiast zamienia się we władzę ustawodawczą: opracowuje zarządzenia, instrukcje, dyrektywy, statuty. Karty owej konstytucji składane są w szarej teście. Władza wykonawcza podzielona jest na jedenaście resortów: resort pierwszy — jakby sekretariat stanu: kierownictwo ogólne, koordynacja, informacja — oparty jest na triumwiracie: doktor Ochlewski — kierownik Wydziału Zdrowia Prezydium MRN, jego zastępca doktor Balicki i doktor Rodziewicz. W skrócie od pierwszych liter nazwisk: R-O-B. Następne zespoły: Zespół Kontaktów, Zespół Diagnostyki i Konsultacji, Zespół Kwarantanny, Zespół Izolatorów, Sprawy Gospodarcze i Finansowe, Transport i Łączność, Zespół Opieki nad Rodzinami Osób Izolowanych, Zespół Szczepień Powszechnych, Zespół Szpitala Szczodre, Zespół Dezynfekcji. Przy triumwiracie akredytowany jest łącznik z KM MO — porucznik Kruszyna. Pierwsza, ujęta w czterech punktach dyrektywa Rady i oznaczona literami „VV”, otwiera plik dokumentów w czarnym segregatorze — i nakazuje Zespołowi Kontaktów natychmiastowe ustalenie kontaktów. Pracownicy Szpitala Zdrowia nagle stają się detyktywami. Zaczynają przesłuchania. Wychodzą od osób chorych — jeśli te mogą zeznawać, odtwarzają dokładnie przebieg ich minionych dni i notują na specjalnej liście nazwiska wszystkich osób, z którymi chory się zetknął bliżej (skontakt I rządu) lub z odległości (II rządu). Kontakty I rządu podlegają izolowaniu, II rządu — kontroli. Niektórzy rozpaczą, że narazili się na izolację i — być może chorobe — poznają w pociągu, „padał deszcz i mogłam nie wychodzić po warzywa i kwiaty”. Te przypadki komponują najdziwniejsze zestawy osób, tworząc nieoczekiwane przekroje społeczne. Prawie wszyscy idą do izolatorów bez oporu.

Niektórzy zorientowawszy się, że mieli kontakt z chorymi, zgłaszają się z własnej inicjatywy niosąc ze sobą pizzamy, reżniki, przybory toaletowe, nierzaz zapas książek, podręczniki do nauki języków, przybory piśmienne czy wełnę na robotki ręczne. Wiele doniesień telefonicznych, czasem anonimowych, wskazuje kontakty nieznanne Zespołowi. Człowiek, który sam siebie określił, że jest „wielozonny”, prosił, żeby żonie I nie mówić o tym, że z „drugą” żoną miał też kontakty, które można zaliczyć do kontaktów I stopnia.

Najpierw badane są kontakty Kowalów. Okazuje się to trudne. Chora nie żyje. Prowadziła ruchliwy tryb życia. Była na weselu, potem zdawała egzamin pielęgniarstwa. Była lubiana, miała wiele znajomości. Dlatego na jej pogrzeb stawili się dużo ludzi. Trzeba odtworzyć listę gości weselnych (nowożeńcy — wraz ze wszystkimi idą na miodowy miesiąc do izolatorium) — i prowadzić drobiazgowo śledztwo wśród żaków. Tworzą wspólnie jedną — jak to określa urodzone nagle słowo — „rodzinkę ospową” i razem idą do izolatorium. Wynik jest zaskakujący: sama Kowalów dała dziewięćdziesiąt kontaktów. Jeśli te osoby zachorują, będzie się miało do czynienia z postępowaniem geometrycznym. A jednak nikt w czasie egzaminu pielęgniarstwa nie zauważył drobnego epizodu: Kowalów, już wtedy gorączkująca, podniecona, uradowana ze zdanego egzaminu, obejmuje i całuje w usta koleżankę. Ten pocałunek oznacza śmierć. Kilkanaście dni potem pocałowana umiera.

Śledztwo ujawnia, że jeden z kontaktów Kowalów, pracownik służby zdrowia, przed rokiem, w czasie szczytu w swoim szpitalu powiedział siostrze, że już szczyt się gdzie indziej. Zapisła jego nazwisko i nie wiedzieli oboje, że był to zapis w księdze umarłych. Matka Kowalów, Potubińska, i siostra Dylewicz miały ze sobą styczność. Wątek Dylewicz potwierdza obawy co do „geometrycznego” rozszerzenia kontaktów. Dylewicz mieszka w trzydziennym mieszkaniu. Pokoje w amfiladzie. Na drzwiach sztyl: „Podnoszenie oczek”. W pierwszym pokoju — maszyna do podnoszenia oczek. W drugim pokoju panie Izakiewicz: matka

z córka, właścicielki przedsiębiorstwa, w trzecim — Dylewicz z mężem i dzieckiem. Pytana przez ekipę ustalenia kontaktów, córka Izakiewicz wspomina jako o kontaktach — o „Felku taksówkarzu”. Matka rzuciła się na córkę, zaczyna ją bić. Córka ujawnia wtedy pseudonim matki: „Bronka”. Matka grozi jej zemstą „Felka”. Wtedy córka rozłoszczona zaczyna sypać kontakty — imiona i pseudonimy dziewcząt: „Celka”, „Bruzda”, Stasia, Hania. Ponadto jest umówionym znakiem, który pokazuje się przy wejściu. Jeżeli tabliczka jest oświetlona czerwona lampką, znaczy, że można wchodzić. Także każda z dziewcząt musi mieć ze sobą jedną północzochę z oczkiem, żeby pokazać w razie najścia milicji. Dalsze przesłuchania matki i córki ujawniają, że na sąsiedniej ulicy jest „filia” tego domu publicznego. Są tam trzy pokoje i trzy klasy usług. Pierwszy pokój: czyste, podwójne łóżka małżeńskie, lampiony, obrazy. Drugi pokój: tapczany. Trzeci pokój — barłogi na ziemi. Goście oceniani są po wyglądzie: brudni oddzielani od czystych. „Wyglądający na dyrektorów”, kierowani do łóżka małżeńskiego. Wielką wagę trzeba przywiązywać do tych szczegółów: te miejsca mogą się stać niebezpiecznym ogniskiem zarazy. Ustalenie listy gości jest trudne. Dziewczęta nie znają nazwisk, tylko imiona, najczęściej nieprawdziwe. Niektórych trzeba dyskretnie zabrać od rodzin, które automatycznie stają się kontaktami II stopnia. Ci ludzie wypierają się, że bywali u „Bronki”. Jeden z zakoczonych gości o nobliwym wyglądzie podaje swoje nazwisko imię, wiek, adres, zawód, po czym prosi, żeby mu pozwolono wyjść po pastę do zębów i mydło. Udaje mu się ułknąć. Zaczyna się pościg — ale pod wskazanym adresem nikt go nie zna: okazuje się, że na poczekaniu wymyślił on sobie personalia, stworzył inną postać.

W jednym ze szpitali izolowani chorzy odnajdują jeszcze sioła piwnicami do sąsiedniego domu, pochodzące jeszcze z czasów oblężenia Wrocławia, kiedy hitlerowcy nie mogli się poruszać ulicami. Te zamurwane przejścia zostały powtórnie wybite i więźniowie zarazy wydostawali się na

wolność. Jeden z uciekinierów błakał się trzy dni po mieście, nocował w piwnicach, ruinach, ogródkach, aż w końcu tropił go wywiadowca milicji. Nie mógł się jednak do izolowanego zbliżyć: musiał utrzymywać dystans pięciu metrów, nie pozwalał tamtemu uciec, byli wzajem swoimi więźniami przez wiele godzin.

W ciągu kilkunastu godzin nastrój w mieście stał się poważny. Nikt nie chciał pomagać uciekinierom i ukrywać ich; bano się kontaktów z nimi. W dzielnicy, gdzie ich znano, trasy ich ucieczek odtwarzały telefony do władz — byli zupełnie samotni, działali w pustce.

Jeszcze nigdy zarządzenia władz nie były tak przestrzegane jak zarządzenie Triumwiratu. Znakomicie funkcjonuje łączność wieloma kablami telefonicznymi. Powstaje coś w rodzaju mostu powietrznego z Warszawą. Triumwirat stwierdza: równoległe z epidemią rozwijają się dwa powiązane ze sobą zjawiska: wzrost dyscypliny społecznej oraz zanik biurokracji, połączone z „jasnowidzącym planowaniem”. W razie oporu jakiejś instytucji stosuje się budzenie dyrektorów w nocy, „urzędowe włamania”, rewizycje. Triumwirowie, analizując nastroje miasta, prawie nie znajdują wypadków hysterii czy paniki. Wpływając na opinię publiczną w codziennych komunikatach, w których publikowano nazwiska chorych i dane o sytuacji, starano się nie budzić grozy, nie tłumić jednak nastroju powagi. „Kiedy patrzyłam na opustoszałe białe od słońca uliczki Starego Miasta, bałam się. To przypomniało średniowieczne miasto w czasie zarazy. Dopiero potem zorientowałam się, że miasto w dzień było puste z powodu straszliwych upałów” — opowiadała mi studentka historii sztuki.

Za to wieczorem jakby nie było zarazy, ulice zapęłniały się. Pito dużo. Mówiono powszechnie, że alkohol dezynfekuje. Pojawia się nowe słowo: pięćdziesięciogramowy kieliszek wódki nazwano „szczepionką”.

Państwu J., niemłodemu już, około czterdziestoletnim ludziom miesiąc przed zarazą urodziło się dziecko. Wiado-

mość o ospie przyjęli z przerażeniem. Postanowili zrobić wszystko, by zmniejszyć szanse zarażenia tego jedyne dziecko, jakie mogli mieć. Pan J., pracownik naukowy, mający przerwę wakacyjną, przygotował w ciągu piętnastu minut listę prowiantów. Zszedł na dół i kupił zapasy żywności. Mam w notatkach tę kartkę obejmującą około trzydziestu pozycji. Między innymi pięć kilogramów mąki, z której sami piekli sobie chleb, słodkie ciasto i podplomyki, puszki z konserwami, zapasy tłuszczów, jarzyn, serów, kasz, mleka w proszku i skondensowanego. Przez dwanaście najcięższych dni nie wychodzili z domu. Nie wypuszczali nikogo, nie reagowali na dzwonki. Ktoś dobijał się. Nie wiedzą do dziś kto. Może zaraza? Wyłączono im światło, nie zapiacone. Ostatnie dni siedzieli przy świecach.

Pewna kobieta przyjęła dwoje dzieci sąsiadów izolowanych, które wróciły z kolonii. Po paru dniach został w fabryce izolowany drugi sąsiad. Ta kobieta odbiera z przedszkola jego dwoje dzieci i opiekuje się, karmi całą czwórkę.

W mieście tymczasem odbywa się Święto Kwiatów, zorganizowane w dziewiętnastą rocznicę oswoбления Wrocławia, 19 lipca, i trwa właściwie do Święta Lipcowego. Odbywa się Wystawa Kwiatów. „Takich jak tu — pisze Gazeta Robotnicza — begonii, róż, astrów, goździków nie widzieliśmy chyba nigdy. Nawet kwiat cebuli, ubrany gipsofilą!” Odbywa się corso kwiatowe, korowód z orkiestra, przebierańcami, koźmi, kucykami, ustrojonymi w kwiaty. Wieczorem — wielki festyn piosenki i kompozycje muzyczne tylko o kwiatach. Recytacje z „Kwiatów Polskich” Tuwima: *Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były w wazę i stromo*. 22 lipca zabawy trwają do późna w nocy. W tym samym czasie pod szpital oспowy w Szczodrem, otoczony oddziałami KBW, podjeżdża czarna „Nysa”. Warta przepuszcza ją aż do bramy. Kierowca z całej siły naciska klakson. Na ten sygnał drzwi szpitala otwierają się. W świetle reflektorów „Nysy” ukazują się cztery kobiety

w maskach, okularach, czepkach, rękawicach, fartuchach i gumowych butach. Niosą trumnę. Zatrzymują się dziesięć kroków od bramy. Kierowca podchodzi do bramy, popycha ją z całej siły. Odchodzi dziesięć kroków w tył. Kobiety wchodzi w bramę, stawiają w niej trumnę. Cofają się dziesięć kroków. Wtedy kierowca i obsługa wozy zbliżają się do trumny. Podnoszą ją, wnoszą do samochodu. Kierowca naciska starter, odjeżdżają ku Wrocławowi. Północny dojeżdżają na cmentarz. W pogrzebie uczestniczą tylko oni: ekipa oczyszczania miasta. Dla nich zmarła jest anonimowa. W piaszczystym kącie cmentarza, w nocy, bez świadków, odbywa się pogrzeb salowej Dylewicz. Nie ma rodziny — zresztą mąż i dziecko są też już chore. Nie ma kwiatów, przemówień. To drugi już grób w kwaterze zarazy.

Jeden z ocalonych, tych, którzy przeszli ospę i wyzdrowieli, opowiadał mi potem o tym klaksonie, a także o pewnym widoku z okna. Otóż zauważył mały zagajnik, w którym ludzie z czarnej „Nisy” składali trumny. Było ich zawsze o kilka więcej niż zgonów. Czekają.

Następne dni przyniosą jeszcze jeden zgon i wzrost zachorowań. Rada, „Komitet 13” i trzeci, powołany dla koordynacji działań władz miejskich, pod przewodnictwem profesora B. Iwaskiewicza, są zapytywane, dlaczego nie zamyka się kin, kawiarni, restauracji. Ale oni wiedzą, że taka decyzja pociągnęłaby za sobą inne: unieruchomienie środków komunikacji miejskiej, w jeszcze większym stopniu narażające na kontakty, a w konsekwencji — zamknięcie zakładów pracy i zamarcie życia miasta. Wszyscy musieliby siedzieć w domach. Stałoby produkcja. Żywność trzeba by dowozić do każdego domu. Nieobliczalne konsekwencje materialne i psychologiczne! Ten projekt obie Rady i „Komitet 13” odrzucają z całą świadomością wagi tego postanowienia, ale i bez dyskusji, jednomyślnie. Uważają za najważniejszą barierę dla choroby — szczepienie. Kiedy choroba dojdzie do szczepionych — wygaśnie. Tym bardziej że szczepią się wszyscy. Nadchodzi najcięższy moment.

Pewnego ranka — opowiada mi profesor Iwaskiewicz nazywany przez obywateli miasta „ojcem zadumionych” — otrzymałem telefon, że stwierdzono ospę u magazynierki wielkiej piekarni. Wydawała ona chleb i bułki. Każda sztuka przechodziła przez jej ręce. Stała się rzecz potworna i nieodwracalna! Pieczywo, które zaraziła chora, rozeszło się do dziesiątków tysięcy anonimowych odbiorców i zostało zjedzone. To był wyrok na miasto. Godzina, która potem nastąpiła, była trudna do przeżycia.

Godzinę nie odywali się do siebie, milczeli. Bębnił palcami w biurko, wyglądałi bezwiednie przez okno. Po godzinie przyszła wiadomość, że magazynierka zaraziła się ospą na urlopie. Rano, w dniu powrotu do pracy poskarżyła się kierownikowi, że jakos źle się czuje. Kierownik, wyrozumiały człowiek, mając zresztą oparcie w przepisach sanitarnych, zwolnił ją, nie wiedząc, że ocala miasto.

Nie uniknął jednak tego, żeby się znaleźć w izolatorium.

Dobrane zgodnie z prawem przypadkowych kontaktów grupy ludzkie, nagle pozbawione wolności, poddane ostrym przepisom, zaczynają się buntować w izolatoriach. Pewnej nocy wiece stu zbuntowanych zapowiada, że opuszczają izolatorium używając siły, zerwą druty i ruszą na miasto. Sytuacja jest groźna: wyjście takiej grupy ludzi na miasto — poza niebezpieczeństwem rozwleczenia epidemii — mogłoby spowodować kontrakcję ludności, która spontanicznie zwalczała ucieczki. Buntownicy, idący zwartą masą w pizmach mogliby stać się celem ataku, spowodować zajścia uliczne! Nie wiedzą o tym oczywiście. Przybierają groźną postawę. Milicjanci są uzbrojeni, ale nie wolno im zbliżać się do izolowanych. Doktor Ochlewski wchodzi na bezkę i zaczyna przemawiać. Ledwie skończył, pada pytanie: „Wirus ospy jest taki mały, to czy pan go widział? Niech pan opisz, jak on wygląda.” Trzeba natychmiast sportretować wirusa, opisać jego kształt, za-

chowanie się. Są tacy, którzy są zdecydowani na wszystko: muszą wyjść, żeby zakatwić najważniejsze sprawy, sprawy życia, wobec których ospa jest piczym, jak wyraził się jeden z nich. Trzy godziny trwa dyskusja. Bunt zostaje usmierzony, zebrani podejmują uchwałę, że zostają do końca kwarantanny.

Wszystkie ich sprawy zostają natychmiast przekazane do załatwienia Zespołowi Opieki nad Rodzinami Osób Izolowanych. Codziennie dyżurni tego Zespołu zbierają do specjalnych zeszytów żądania izolowanych. Nawet takie jak podlewanie kwiatów, które wiadną w mieszkaniach, opiekę nad psami, kotami. Odbieranie dzieci z kolonii. W jednym z zeszytów można przeczytać: „Sprawa Marii G. Jej dziećmi opiekuje się siostra, którą chcą wyrzucić z pracy za absencję”. „Siostry Zofia i Teresa B. obawiają się, że jak wrócą do domu, to matka je zabije, bo nie uwierzy, że były w izolatorium”. Pan J. „Żona w domu, chora na raka, umierająca. Dowiedzieć się o zdrowie”. Wiadomości, jakie uzyskuje Zespół, są złe. Stan chorej ciężki. Mąż prawdopodobnie nie ujrzy jej przed śmiercią. Na to nie ma rady: nie można go wypuścić nawet na godzinę. Wtedy pan J. popętnia samobójstwo. Próba nie udaje się, pan J. zostaje uratowany — ale nadal pozostaje zamknięty w izolatorium. Dzieci pani F., kiedy wróciły z kolonii, nie zastały jej. Nim Zespół Opieki wystąpił swoich ludzi, ustalono, kto opiekuje się dziećmi, ale zdziwionej pani F. nic nie mówiło podane nazwisko: jej dzieci przysparzali nieznani ludzie. Prosiła o przeniesienie dzieci do rodziny, ale wtedy okazało się, że tymczasem dobrzy nieznajomi wyjechali na urlop. Przedtem przekazali dzieci swoim znajomym. Pani F. nie wie nawet, gdzie są jej dzieci. Pewna chłopka otrzymała list od listonosza z jej wsi: zastał jej męża, gdy niósł mu gazetę — zabarykadowanego. Przez dwa dni oblegali go sąsiedzi. Bali się, że przez niego pójdą do izolatorium, „gdzie czeka ich śmierć”, a co gorsze, jest czas żniw i kto zbierze im z pola? Wszystko to wzmaga napięcie w izolatoriach. Zaczęły się głodówki.

Izolowani, którzy ogłosili głodówkę, nie przyjmują kolacji, potem śniadania. Wysokokaloryczne jedzenie — ościabienie jest sprzymierzonym zarazy — stawia się przy łóżku. Przy obiedzie na ogół się zatamują. Inni ulegają na widok sondy. Obok buntów i głodówek zdarzały się bandyckie wyprawy. W izolatorium Prace banda nożowników rzuciła się na lekarzy i pielęgniarki. Pijane prostytutki urządziły „strip-tease” i nagie biegały po korytarzach. Kobiety z dziećmi, zajmujące jedną z sal, stworzyły wśród siebie coś w rodzaju „straży” i zabarykadowały się w środku. Stwierdzono przemyt alkoholu. Płynął dwoma kanałami: półoficjalnie, w paczkach od rodzin, a nawet z biur i fabryk, które ludzom zabranym z powodu kontaktów w pracy — przygotowywały „wałówki”. Wysyłano też w skrzynkach z wodą sodową kilka specjalnie oddelegowanych wywiadowców zaczęło pracę następującą metodą: w okolice Izolatorium Prace był tylko jeden sklep. Wielobranżowy. Wywiadowcy zapytali sprzedawczynię, czy nie można dostać wódki, której oni potrzebują dla śmiertelnie chorych. Z krzesła podniósł się mężczyzna, który, jak potem się okazało — stale dyżurował w sklepie. Łącznik poprowadził wywiadowców ku polom, gdzie kończyły się domy. W budynkach podmiejskiego PGR, w komórecie, mieścił się nielegalny skład wódki. Dysponowano tu każdą ilością alkoholu. Handlarke aresztowano. Zarządzenia prohibicyjne Triumwiratu zaczęły działać: wprowadzono rewizję pa- czek dotąd nie kontrolowanych. W paczce książek zwrócił uwagę 500-stronicowy tom, wygrany na loterii ulicznej — jak głosiła pieczętka na okładce — za 1 zł. Do 47 strony czytało się ją normalnie. Dalej w wydrążonych nożami intruzatorskimi schowku tkwił flakon po lekarstwach, pełen spirytusu. Wtedy też Rada powzięła uchwałę, przeko- zaną do wykonania Komitetowi Trzymastu o utworze- niu na czas zarazy własnego więzienia w izbie publicznej, wien dla izolowanych, którzy zakłócają spokój publiczny, uciekają, zagrażają współizolowanym. Więźniowie bezpie- ubierani byli w „anielskie płaszczki” — kaftany bezpie-

czeństwa i odwożeni specjalną karetką, eskortowaną przez radiowóz milicyjny. „Wyroki” ferowane przez personel służby zdrowia, który spełniał rolę sędziów, prokuratorów i adwokatów, kontrolowane były przez Komitet Trzynastu, jakby przez sąd apelacyjny. Za dobre sprawowanie zmniejszano karę, więźniowie byli zwalniani — z powrotem do izolatorium. Odsobnienie nielicznych wśród półtora tysiąca izolowanych — ale szczególnie uciążliwych w zamknięciu i odizolowaniu od świata zmienia sytuację. W pierwszym — a więc mającym najwięcej trudności — izolatorium na Praczech zaczyna panować spokój. Inne nastroje panują w otwartym w momencie największego nasilenia wykrywania kontaktów wielkim izolatorium na Psim Polu.

Otrzymałszy zezwolenie Triumwiratu, reporter „Świata” przejechał bramę z ostrzegawczymi napisami, wozem należącym do kolumny transportowej złożonej z aut zabezpieczonych instytucjom na czas stanu wyjątkowego. Towarzyszący mi doktor Rodziewicz w chwili, gdy znalazł się na granicy strony „czystej” i „brudnej”, wyjął biały płócienny worek. Rozwiązał go, wyjął lekański fartuch, pomógł mi go włożyć, zawiązał z tyłu, potem naciągnął mi parę bumowych rękawiczek z długimi mankietami na zawiązane tasiemki rękawów fartucha. Potem zawiązał mi na twarzy maskę, nałożył czapeczkę. To mundur zarazy. Do takich ludzi mówi się: „co maska mówi?” lub „kosmonauto”. Milicjant sprawdził moją przepustkę. Przeszliśmy niewidzialną granicę — na stronę „brudną”. Zobaczyłem pawilon internatu Technikum Budowy Samolotów, zajętego na izolatorium. Każdy pawilon oddzielony jest drutem koleczastym. Izolowani, w pasiastych pizamach, ze śmiechem pozują na „więźniów”. Na elektrycznym wózku, stanowiącym wewnętrzną komunikację — dwóch ludzi ubranych tak samo jak ja. Spod maski widzę tylko ich oczy.

Dużo dzieci. Dużo lalek. Kazali je dostarczyć Triumwiratowi. Dzieci mają bloki rysunkowe. Malują. Przeważnie ospę. Na rysunkach dzieci przybiera antropomorficzne

kształty: czarna pani. Zamknięci tu razem atleci ćwiczą całe dni. To rozrywka dla innych.

Było mi trudno oddychać, w palcach rękawiczek zbierała się pot zmieszany z talkiem. Z trudem notowałem pierwszą rozmowę.

Technik telewizyjny opowiedział:

— Wezwano mnie telefonicznie do uszkodzonego telewizora. Otwarto mi drzwi. Wszedłem do mieszkania, od razu zorientowałem się, że jest zepsuty prostownik. Nie miałem żadnych narzędzi. Wyszedłem. Tymczasem okazało się, że dziecko właścicieli, którego nawet nie oglądałem na oczy, jest chore. Tak się tu dostaje. Najpierw mieszkał w pięciu. Potem zostaliśmy we czterech — pokazuje na współtowarzyszy. — Piąty zachorował.

Tak nieoczekiwanie los związał czterech ludzi: dwóch alfonsów, technika telewizyjnego i pracownika administracyjnego pionu spraw wewnętrznych. — Ujrzawszy nas — opowiada młody człowiek z baczkami i falistymi włosami spadającymi na kohier — wszyscy uciekali. „Osipa idzie!” — szedł ostrzegawczy krzyk. Wchodzili w ściany na nasz widok! Najbardziej przerażał nas strach innych przed nami. Przeszliśmy wychodzić. Poprosiliśmy, żeby nas zostawiono dalej razem — całą skazanym — i czekaliśmy. Całe dni czekaliśmy. Obserwowaliśmy się wzajemnie. Całe dni bez przerwy — co chwilę śledziliśmy, co się dzieje z naszą skórą. Dotykaliśmy migdałków. Pięć dni i nocy nie spaliśmy. Potem byliśmy zmęczeni lekkiem i bezsennością. Rwaliśmy włosy z głowy, kiedy rozpatrywałamy, jak to było: jak z tamtym jedliśmy, myśliśmy się razem, jak graliśmy w karty. Raz nawet on wygrał, splunął lekko na lewe, a potem w następnym rozdawaniu te karty, jak graliśmy w karty. Raz nawet on wygrał, splunął lekko na lewe, a potem w następnym rozdawaniu te karty: as pik, dwa króle, przypadły mnie, że umrę — moja kalismy na śmierć. Ja byłem pewien, że umrę — moja ospa nie przyjęła się. Mało słów wymówiliśmy przez ten czas. A potem wiedzieliśmy, że będziemy żyli i zaczęliśmy się śmiertelnie nudzić.

W sąsiednim pawilonie poznaje piętnastoletnią Marysię, drobną blondynkę, ze względu na wiek zaliczona jest do

dzieci, jak i jej towarzysz, piętnastoletni Bolek, dlatego cieszą się większą swobodą. Marysia daje mi do przeczytania dwa bruliony:

Ta cała tragedia przedstawia się śmiesznie, bo tu przychodzą na odwiedziny. Wszyscy są za drutami, dzieł ich dziesięć metrów, tak że krzyczą na cały głos wszyscy. My mamy najbliżej do drutów, bo są tacy, którzy w ogóle nie mają dostępu, to krzyczą na cały głos, ile kto ma sił.

Dziś jest chyba najgorszy dzień jak dotąd nigdy. Rano zachorował pan C. (ojciec tego Bogusia, który też był chory) na czarną. Jednym słowem tragedia. Rano musiałam panu K. guziki przyszyć, bo w nocy poobrywał je. Wszyscy płaczą, lekarze, siostry i w ogóle jeden ryk słysząc. Gdy przyjechali po C., na oddziale powstała jedna panika. Po uzięciu go, cały oddział dezynfekowali, ziali, to było chyba po kostki. W naszej sali wszystkie strasznie płaczą.

Nazajutrz:

Bolek był rano u mnie. Nie było tu nikogo, miał wtedy szansę, skorzystał z tego, no i pocałował mnie dwa razy, raz w policzek — drugi w oczko moje. Kazałam mu wyjść, by nas nikt nie przegonił, bo byłoby po uszy nieprzyjemności. Dostałam od Bolka kawona, nie chciałam brać, ale powiedział, że jeżeli nie wezmę, to znaczy, że i jego także. Przyszła siostra oddziałowa i krzyczała na niego, ponieważ był bez fartucha, a u nich na sali wszyscy mieli 37 i bali się bardzo, aby to nie było groźne.

Psie Pole to jest ogromna równina, wszędzie można widać dzieć drzewa. Wszędzie są druty kolczaste. Tu jest bardzo romantycznie. Chciałabym tu mieszkać. Jesteśmy z dala od ruchu, od gwaru, tak że można spokojnie odetchnąć. Bardzo mi się tu podoba. Chciałabym tu być trochę dłużej, ale pod warunkiem, że byłaby tu większa swoboda.

Nazajutrz:

Wczoraj nakręcałam sobie włosy i dzisiaj rano ładnie się uczesałam. Podobałam się wszystkim, do tego ubrałam się w czystą i świeżą piżamę.

Dostałam przydział na pisanie listów. Przyszła siostra

i dała nam karty pocztowe, tak że możemy dać jakikolwiek znak życia o sobie. Musimy pisać tylko ołówkiem, bo karty idą do sterylizacji, tak że atrament by wypłował. Napisałam do Haliny, mamusi i Kazika.

Czytamy o Skopje, o zatruciu grzybami (8 osób), o uzbuchu niewypałów (10 osób). Same kataklizmy.

Wojna straszniejsza: po 20 latach 1 tylko pocisk zabrał więcej niż cała ospa.

Pani Wacia niechęący stulika talerz. Wszystkie babki krzyczały na cały głos. Mężczyźni przeprowadzili się na inne sale, bo bali się spać na tej sali.

Nazajutrz:

Wróżył mi dzisiaj pan K. i powiedział mi, że mam trzy osoby fałszywe, siostrę Stasię i panią B. i jeszcze jakiegoś faceta (Bolek?). Strasznie płakałam. W ogóle tu wszyscy cy dużo wróżą sobie.

Bolek przyszedł tu z kartami i wziął pamiętnik, a miałam pióro w ręce i chciałam mu wyruwać tak, że tym piórem ubiłam sobie stalówkę w palec, cały teraz jest czerwony, a krew zamiast płynąć czerwona, to była niebieska. Chyba już się na tym skończyła nasza miłość, która trwała jeden sen.

Kiedyś nadejdzie ta zbawienna godzina, że nas wypuszczą. Być niezależnym od innych! Mieć siebie w swojej dyspozycji! Jutro zakładamy głodówkę i domagamy się wolności.

Nazajutrz:

Straszna wieść: nasz pan C. nie żyje. Co będzie z nami? Bolek powiedział mi, że gdy ja z nim nie rozmawiam, on w ogóle nie jadt i nie spał i całe noce musiał się błąkać z myślami. Wczorajem prosił mnie, aby mógł mnie pocałować. Nie pozwoliłam mu. Powiedział mi tylko tak: daj mi, jutro powiesz nie i gdy ja będę odjeżdżał z kwartanem, jutro powiesz także nie. I spojrziałam na niego, miał oczy pełne łez. Gdy mu powiedziałam, że go nie kocham, po prostu rozplakał się, to był płacz taki, że ja również nie mogłam tego przeżywać i także płakałam. Płakałoby obydwójce, bo byliśmy szczęśliwi. Bolek nie jest taki jak inni chłopcy. Ja przecież Bolka bardzo kocham, nie wiem

dla czego tak postępuję. Gdy mnie całował, myślałam, że ze szczęścia umrę.

Pani B. jest bardzo zła na mnie dlatego, gdyż ja nie potrafię być smutna i przygnębiona z tego powodu, że my tu tak długo jesteśmy. Cóż ja zrobię, kiedy ja nie potrafię się martwić, kiedy mnie to wcale nie przeszkadza, że tu jesteśmy.

Pan C. podobno żyje."

Doktor Hora, szef izolatorium, zaprasza nas na obiad. Unosząc maskę jemy zupę jarzynową, kotlet z buraczkami, ziemniakami purée, obficie oblanymi masłem, kompot. W tym czasie moje notatki i pióro leżą pod lampą bakteriobójczą. Zapamiętuję więc historię męża, który cały urlop spędził w rowie przed izolatorium, patrząc w stronę pawilonu, gdzie była żona, czasem krzycząc z całej siły jakieś słowo. Historię „powstania” w jednym z bloków, który zabarykadował się nie chcąc przyjąć izolowanych z nowych kontaktów. Sprawę konfliktu między mężczyznami i kobietami z jego zakładu pracy o paczkę od rady zakładowej. Obrażone kobiety przestały się ukazywać w oknach od strony kolegów, a oglądanie ich w kostiumach kąpielowych było ich jedyną rozrywką, jedynym spektaklem. Doktor Siekanowicz, izolowany z powodu kontaktu z chorymi i pracujący w izolatorium jako lekarz, przynosi Hymn Izolatorium Psie Pole pt. „Kwarantanna”, ułożony przez „pensjonariuszy” i śpiewany przy wszystkich ważniejszych okazjach:

Na Psim Polu dość wesoło

Dzieci kręcą się wokoło

Zewsząd płynie radość, śpiew

Czas nikomu się nie dłuży

Czy to mały czy to duży.

I tak płynie dzień za dniem.

Refren:

Kwarantanna, kwarantanna

Tam przyjemnie i wesoło spędzisz czas

Za drutami kolczastymi

Do kwarantanny na Psie Pole, jedź choć raz

Bo tam jesteśmy wciąż bliżej nieba

Gdzie szumią drzewa i zboża łan

I cóż nam więcej trzeba do szczęścia

Gdy dość jest chleba i kawy dzban...

Po wizycie w izolatorium zwracam się do Triumwiratu o pozwolenie odwiedzenia słytnego już na całą Polskę szpitala ospowego w Szczodram. Jednak Triumwirat kategorycznie odrzuca moją prośbę. Godzi się jednak, abym z odcieptymi od świata przeprowadził rozmowę telefoniczną. Nakręca numer znany nielicznym we Wrocławiu, przywołuje doktor Surowcową. Krótko przedstawia mnie, z powiada, że będę za chwilę mówił i oddaje mi słuchawkę.

— Dzień dobry pani doktor — mówię. Słyszę dźwięczny, spokojny głos:

— Dzień dobry panu.

— Ile czasu będę mógł z panią rozmawiać?

— Nie będę z góry określała. Gdyby rozmowa się przedłużała zbyt długo, to powiem.

— Nie wiem, jak pani wygląda.

— Dyrektor Rodzewicz opisz panu. Ja do takich rozmów

jestem już przyzwyczajona. Od 17 lipca, pótkora miesiąca,

slyszę tylko głosy — tych najbliższych, najlepiej mi znanych — i obcych, których nigdy nie widziałam przedtem.

— Podobno pracowała pani więcej niż dwadzieścia

cztery godziny na dobę?

— Można tak powiedzieć. Pierwszy dzień pracy trwał

od 17 do 22 lipca. To było jak wojna. Byłam sama, mając

tylko jedną pielęgniarkę, dwie salowe, magazyniera. Same

wynosiliśmy zmarłych i dezynfekowały. Dopiero 22 lipca

przyszło dwoje lekarzy. Chorzy są absolutnie od siebie izolowani. O tym, że ktoś umarł w sąsiedniej sali, za ścianą,

dowiadujemy się przez radio. Nie mamy psychoz ani ataków hysterii. Lęk minął od chwili, gdy skończyły się zgony i ludzie — że tak powiem — zaczęli wychodzić innym

wyjściem: na wolność jako zdrowi.

— Czy pani doktor ma jakieś wnioski natury ogólniejszej, jeśli można by to tak nazwać, natury filozoficznej?

— Nie, tylko lekarskiej.

— Czy pani doktor ma jakieś życzenia w stosunku do mnie?

— Tylko jedno: niech pan mi opisz, jak ludzie chodzą ulicą, bo już zapomniałam.

(Następuje krótka opis tego, co widzę przez okno, po czym dziękuję pani doktor za rozmowę. Wyrażam nadzieję, że niedługo ją zobaczę, że nie będziemy oddzieleni kordonem wojska i kablem telefonicznym. Pani doktor potwierdza, że rzeczywiście, niedługo tak będzie: szpital w Szczodrem jako szpital dla zarażonych przestanie istnieć).

Odkładam słuchawkę. Doktor Rodziewicz pyta mnie, co robię dziś wieczorem. Czy przyjąłem zaproszenie? Tak, będę tam — odpowiadam. W kieszeni mam druk następującej treści: *Rada Zakładowa i Dyrekcja Okręgowego Urzędu Telekomunikacji uprzejmie zaprasza Redaktora SWIATA na spotkanie przy czarnej kawie w okresie epidemii. mi Urzędu, którzy byli izolowani w okresie epidemii. Spotkanie odbędzie się dnia... o godz... w Klubie.*

Punktualnie o osiemnastej przekraczam próg Klubu. Na sali widzę co najmniej sto dziewcząt. Jest wino, owoce, bukiety herbacianych róż. Wybieram stolik, z taśm płynnie twiast. Teresa, lat dziewiętnaście, numer służbowy 174 opowiada: „Wzięto nas, całą zmianę, na kwarantannę na Psie Pole. Za nas pracowały koleżanki, upały docho-dziły do 40°, a pracy było dwa razy tyle, bo wszyscy szturmowali Wrocław, pytali o rodziny i tu, w samym Wrocławiu więcej kontaktowano się telefonicznie niż osobiście. Na zakończenie kwarantanny urządziliśmy w naszym bloku nr 7 bal kostiumowy. Była i Śmierć, i Ospica. Potem jej kukłę spalił. Spiewaliśmy nasz hymn. Teraz dopiero czuję, jak to dobrze, że jesteśmy ocalone, że przeżyliśmy, że nie umarliśmy. Nie byłoby już dzisiaj-szego dnia”.

SPIS ZDJĘĆ

1. Franciszek Gaćwiński, skromny Polak, któremu podlegała armia poległych na wszystkich frontach w latach wojen 1871, 1914, 1939.
2. Na pograniczu osiedla mieszkaniowego i cmentarza — jeden z polskich grobów. Treść napisu zaszyfrowana w babilońskich słowach.
3. Józef Grzesik, z walizką w ręku, jakby wybierał się w drogę — na progu „okola”.
4. Herman, kilka dni po drugiej kłatwie, na tle montowanego przez siebie XVII-wiecznego kościółka.
5. Po drugiej stronie tej pocztówki, fioletowym atramentem, w pośpiechu, pisane pięćdziesiąt lat temu słowa: „od dnia, kiedy przyszedł czas, który nosi nazwę czasu cierpliwości, przynajmniej się nie umiera...”
6. W piwnicach „Chez Régine”, wielki świat — „cały Pa-ryż” — „wszyscy” — tańczą w półmroku, przy huczących melodią głosówkach, tłoczących twiasta.
7. Baron Rotschild, ks. d'Orana i Régine.
8. Na tym zdjęciu Feliks S. po raz pierwszy ujrzał swoją matkę.
9. Młody Tartakovsky jako Czerwony Sokół. Zachowane zdjęcie z fotomatonu.
10. Meldunek 999, w którym „Sprężyna” raportuje sprawę Gundelach-Arnold-Rateński.

KRZYSZTOF
KAKOLEWSKI

**TRZY ZŁOTE
ZA SŁOWO**



WARSZAWA - 1964

... I I C K S I V Z t t j e n p R CZ I